

operetka

DON GIL W ZIELONYCH SPODNIACH

SZYLD i pieczętki są jeszcze stare. Czytamy na nich: „Operetka Dolnośląska we Wrocławiu”. Ale w prywatnej, kularowej rozmowie pani dyrektor Barbara Kostrzewska ciągle nas upominała: „My już nie jesteśmy operetką, lecz teatrem muzycznym”.

A jeśli teatr muzyczny, to i „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, „Stomkowy kapelusz”, „Kram z piosenkami” itp. Zmiana profilu? Raczej jego rozszerzenie. W programach repertuarowych teatru będzie teraz miejsce na jedno i na drugie: na to, co dominowało dotychczas, czyli na operetkę, i na to, na co sporadycznie decydują się teatry dramatyczne, czyli na muzyczną komedię. Z tym, że w teatrach dramatycznych niemal zawsze był to pewien akt odwagi, bo wbrew pozorom nie tak łatwo o dobrych aktorów umiejących śpie-

wać, choćby tylko poprawnie. Natomiast operetki borykają się zwykle z odmiennym niedomaganiem. Bywa, że dobrzy wokaliści nie potrafią w naturalny sposób podawać kwestii mówionych.

W tej podwójnej roli artyści Operetki Dolnośląskiej (pardon, Teatru Muzycznego) występowali już kilkakrotnie, a krótko przed gwiazdkowymi świętami przedstawili nam nową premierę muzycznej komedii: „Zielonego Gila”. Tęśno de Moliny w przekładzie i adaptacji Juliana Tuwima i z muzyką Andrzeja Markowskiego.

Nie uściślam daty tej premiery, bo trzeba by podać ich kilka, gdyż niektóre postacie w „Zielonym Gilu” zostały obsadzone poczwornie, a tytułową rolę przygotowało aż pięć pań! Należałoby więc raczej mówić o premierowym cyklu niż o jednym przedstawieniu. Tu jednak w grę wchodzi dwa spektakle, z tyłoma bowiem obsadami zdążyłem się do dnia dzisiejszego zapoznać.

Najtrudniej przyjdzie mi chyba pisać o stronie wokalnejszej „Zielonego Gila”, bo tak Bogiem a prawdą niewiele miał tu śpiewacy okazji do popisu. Przeważają melorecytacje lub piosenki o charakterze parodystycznym, a jeśli nawet trafi się jakaś kantylena, to najczęściej glinie w gęstym i głośnym akompaniamencie. Na pierwszy plan w „Zielonym Gilu” wysuwa się gra aktorska. Tu wyraźnie zarysowały się dwie konwencje: operetkowa (w tym wypadku nieco staroświecka) i dramatyczna. W pierwszej utrzymywali się: Barbara Pyrkosz (Donna Diana), Fe-

licja Jagodzińska (Donna Inez) i Henryk Teichert (Don Ricardo).

Przy całej teatralnej umowności trudno było w tym przedstawieniu uwierzyć, że sceniczni partnerzy Donny Diany nie dostrzegają jej kłóbiących wdzięków. Barbara Pyrkosz ma w sobie tyle kokieterii, tyle zalotności, że nie ukryje tego nawet najbardziej męskie przebranie. Nie pomogą tu nawet wasy i broda.

Jeśli mogłaby mnie taka maskarada zwiść, to już raczej w wykonaniu Krystyny Wawrzyniak-Kubiak. Ją też, wraz z Danutą Płocką (Donna Inez) i Marianem Ogorzelcem (Don Ricardo) zaliczam do tej drugiej, „dramatycznej” konwencji „Zielonego Gila”. Tutaj reżyserce, Halinie Dzieduszyckiej, udało się stworzyć z poszczególnych ról żywych ludzi, z ich prawdziwymi przyzwyczajeniami i śmiesznościami.

Na osobną wzmiankę zasługuje sługa Donny Diany, Caramanchel, trochę lotrzyk, trochę błazen, nie-dojda i hultaj, człowiek bez złudzeń, ale za to z własną, nieco cyniczną filozofią życiową. W Tuiwimowskiej adaptacji „Zielonego Gila” jest to najbardziej krwista, najciekawsza aktorsko rola. W obu przedstawieniach w postać Caramanchela wcielił się Zdzisław Skorek. Trzeba przyznać, że robił to brawurowo, choć nie zawsze w najlepszym guście. Nie mogę Zdzisławowi Skorkowi darować kilku dość trywialnych „zagrywek”: nie znaliśmy ich ani w tekście, ani w didaskaliach „Zielonego Gila”. Bez tych własnych dodatków Zdzisław Skorek z całą pewnością nie zbierałby mniejszych

braw, a trzeba przyznać, że publiczność mu ich nie żałuje. I słusznie, bo stworzył postać wyrazistą, dowcipną, żywiołową, wręcz pierwszoplanową.

We wstępie do polskiego tłumaczenia „Zielonego Gila” (Czytelnik, 1976) Tadeusz Januszewski pisze: „Muzykę (...) skomponował Andrzej Markowski, zaangażowany przez Zbigniewa Sawana na stanowisko kierownika muzycznego Państwowych Teatrów Dramatycznych w Szczecinie (było to w roku 1950 — przyp. J. M.) i tworzący pod pseudonimem Marka Andrzejewskiego, co dziś nie jest już chyba tajemnicą. Stworzył muzykę niezwykle udaną, jak podkreślają zgodnie wszyscy recenzenci, związaną już na trwałe z Tuiwimowską adaptacją „Zielonego Gila”.

Ciekawym, czy ci recenzenci byli w tej kwestii tak zgodni również dzisiaj. Wydaje mi się, że muzyka Andrzeja Markowskiego nie wytrzymała jednak próby czasu i w ciągu dwudziestu pięciu lat bardzo się zestarzała. Mało dowcipna, „grubo” i banalnie zinstrumentowana (nawiasem mówiąc, nie przez kompozytora) nie dość, że nie podkreśla błyskotliwej akcji, to jeszcze na dodatek przeszkadza w odbiorze tekstu, dosyć skutecznie zagłuszając partie solistów. No, i jest tej muzyki do-prawdy niewiele. Pamiętajmy jednak, że była pisana na inne zamówienie, do innej inscenizacji i zupełnie odmiennej koncepcji reżyser-skiej.

Reżyserce wrocławskiego „Zielo-

nego Gila” Halinie Dzieduszyckiej ta ilość muzyki nie wystarczała, brakowało jej też choreografowi, Teresie Kujawie. Sięgnięto więc po namiastkę, czyli po muzykę z taśmy magnetofonowej. Doskonałą, ale jednak obcą. Odmienną stylistycznie, rozbrzmiewającą na innym tle akustycznym. Inna sprawa, że są to niemal jedyne fragmenty przedstawienia, kiedy muzyka zgodnie towarzyszy scenicznej akcji, czego niestety nie można powiedzieć o żywej orkiestrze (dyryguje Maria Oraczewska-Skorek), która jest niemal permanentnie opóźniona w stosunku do śpiewaków i tancerzy. Myślę jednak, że po kilku przedstawieniach dojdzie tu do wzajemnego zrozumienia. Zresztą już na trzech przedstawieniach było nieco lepiej.

A w ogóle to wróżę „Zielonemu Gilowi” duże powodzenie. Przedstawienie zostało wyreżyserowane z nerwem i ściąle hiszpańskim temperamentem. Akcja toczy się wartko, a wzbogacają ją jeszcze efektowne sceny taneczne, żywiołowy finał zaś zmusza wręcz publiczność do gorącej owacji (doświadczonej reżyser wie, jak taki efekt osiągnąć).

Muszą się też podobać kostiumy zaprojektowane przez Wojciecha Zielińskiego: Barwne, choć nie krzykliwe, nie tylko ubierają i zdobią, ale pomagają również aktorom w grze, podkreślając ich sceniczne osobowości.

A śmiechu i zabawy jest w tym przedstawieniu co niemiara.

JANUSZ MENCEL